Mirosława Pałaszewska, Jan Engelgard

Listopad 1918 roku w literaturze pamiętnikarskiej : wybór relacji

Niepodległość i Pamięć 15/2 (28), 219-234

2008

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

„Niepodległość i Pamięć"
Nr 28, 2008

Listopad 1918 roku w literaturze pamiętnikarskiej (wybór relacji)*

Maria Zdzisławowa Lubomirska „Pamiętnik księżnej Marii Zdzisławowej Lubomirskiej 1914-1918", Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2002

Sobota, 9 listopada

Pęd wypadków nie da się określić. Te notatki pisane w chwilach, gdy dochodzę do niejakiego uspokojenia, obejmują tylko skąpe, oderwane epizody – brak im całokształtu i atmosfery gromowładnej, która nas otacza...

Przed oczami widza ciągła zmiana dekoracji; z hukiem i trzaskiem obsuwają się coraz to nowe obrazy, roztwierają czeluście, roztaczają nieprzewidziane widnokręgi...

Podczas gdy ranne gazety tu zamieszczone głoszą wiadomości o zawieszeniu broni, o dymisji kanclerza i spodziewanej abdykacji cesarza, wieczorem dowiaduje się Zdziś od Czapskiego, który przybywa na Frascati cały drżący z Żychlińskim, że rewolucja wybuchła w Berlinie. Ebert został kanclerzem (jeśli nie najlewicowszy Ledebour), cesarz Wilhelm już swój tron pożegnał.

Konsternacja! Pomiędzy tymi dwoma rewolucjami, które nas ujęły w kleszcze – pomiędzy Rosją a Niemcami, spłyniemy i my! W czasie rozmowy w salonie pomiędzy Zdzisiem a panami w niemieckich, upokorzonych mundurach, siedząc w drugim salonie, otrzymuję żałosną wieść o zamordowaniu mojej świni, hodowanej z powodzeniem przy domu od miesięcy. Zamierzałam ją ubić na święta w pełnym tłuszczu. Jak to być może, aby o szóstej wieczór świnia zginęła w naszym najbliższym sąsiedztwie śmiercią męczeńską, a oprawcy odeszli z łupem bez szwanku i w cichości? Tego pojąć nie mogę! Złowróżbny czyn! Dziś świnia, jutro ja...!

Rzecz wydała mi się dość ważną, by wpaść do salonu, przerwać rozmowę polityczną i powiadomić Zdzisia o krwawym wypadku.

Mam nadzieję, że ta niespodzianka, a szczególna dywersja dobroczynnie wpłynęła na stan nerwów tych panów – rozjaśniłam uśmiechem ich stroskane oblicza.

Tak się horyzont zaciemnia, że ciarki chodzą po skórze... Już wynajęłam dwa skromne pokoje w zacisznej pensji dla córek, w razie gdyby tu w głębi ogrodu położenie stawało się niebezpieczne. Strach o graty, o posiadłości, o kochane stare pamiątki.

Jutro rano przybywa do Warszawy Piłsudski – JESZCZE na prośbę Rady Regencyjnej – dwadzieścia cztery godziny później, a drzwi jego więzienia w Magdeburgu wyłamywałaby rewolucja. Zdziś chciał jechać na jego spotkanie do Aleksandrowa i tam wsiąść do pociągu, aby być pierwszym, który mu przedstawi wypadki minione i spoj-

* Opracowanie: Mirosława Pałaszewska i Jan Engelgard.

rzeć z nim razem w przyszłość, nakierowując myśli, o ile się da. Lecz przez władze niemieckie chybił ten plan, więc Zdziś tylko na kolej pojedzie.

Niektórzy krytykują zamiar spotkania Piłsudskiego na kolei z przyczyn etykietalnych; co do mnie sądzę, że przeżywszy chwilę, w której martwa forma nie może być brana w rachubę... chodzi o treść żywą w momencie, gdy liczy każdy ruch, każda minuta...

„Dodatek Nadzwyczajny" zwiastuje dziś wieczór zwinięcie generała-gubernatora. Beseler wystosował w tym względzie pismo do Rady Regencyjnej, Zarząd kraju przekazany jest rządowi polskiemu. Niemcy zachowują sobie koleje, komunikację, telegraf i telefon.

Za późno!

Niedziela, 10 listopada

Przyjazd Piłsudskiego utrzymany został niemal w zupełnej tajemnicy. POW tracące już cierpliwość miało jakoby tej nocy na Zdzisia napaść – mieliśmy przeto wzmożoną wojskową obronę, ale znowu noc minęła spokojnie. Zdziś wstał wcześnie rano, by spotkać Piłsudskiego przed ósmą na dworcu.

Wysiadł Piłsudski ze swym adiutantem Sosnkowskim, podszedł do niego obok Zdzisia naczelnik Polskiej Organizacji Wojskowej z paru towarzyszami; powitał, złożył raport, oznajmił, że czeka kareta, a śniadanie w domu gotowe. Lecz Zdziś własne zaproszenie narzuca, prosi komendanta do samochodu, herbatę na Frascati zapowiada i o rozmowę prosi.

Piłsudski SZCZĘŚCIEM nie waha się w wyborze i do regencyjnego samochodu wsiada. Członkowie POW rzucają na Zdzisia zjadliwe spojrzenie.

Tłumu nie ma na kolei, bo godzina wczesna, a przyjazd bohatera niespodziewany. Gdzieniegdzie grupki poznają – wykrzykują.

Piłsudski przybywa do Polski pięć minut przed wybiciem godziny! Oby potrafił za ster łodzi narodowej chwycić i przez rafy do portu zawinąć.

Długo Zdziś konferował z Piłsudskim po herbacie... malował położenie, przemawiał gorącymi słowy; Polak do Polaka – ambicję podniecał, wyrażając mocne przekonanie, że on jeden Polskę zbawić potrafi w tym historycznym momencie najważniejszym ze wszystkich; sam należąc do szeregu poległych, z zaufaniem gotów oddać władzę Piłsudskiemu – który zwycięzcą być musi!

Piłsudski słuchał – mówił mało – nie chciał wyrażać zdania przed rozpoznaniem położenia – zawsze zagadkowy, uczynił na Zdzisiu RACZEJ dodatnie wrażenie, ale wydał mu się mizerny i zmęczony więzieniem. Drobniejszej miary Samson po obcięciu włosów przez Niewolę. U nas w Polsce ludzie twardej ręki nie są popularni – mamy tego przykład na Wielopolskim. Tych naród kocha, którzy uosabiają jego duchowość. Piłsudski nazywał sam siebie „legendą" – jest psychozą chwili – wedle mnie twardym, realnym zadaniom nie podoła, nie ufam mu, nie wierzę mu, a tak bym wierzyć chciała! bo nam w tej srogiej potrzebie tak bardzo przewodnika potrzeba.

Komendant mówił Zdzisiowi, że o wiele bardziej obawia się dla Polski bolszewizmu z Niemiec niżeli z Rosji. Opuszczał Berlin w chwili wybuchu rewolucji, widział jak żołnierze zdzierali oficerom szlify – zaraza szerzyła się drogą kolejowego toru i wraz z Piłsudskim przybyła do Warszawy, ogarniając wojska niemieckie.

Muszę wyznać, że wybuch i rozciągłość rewolucji w Niemczech (punkt wyjścia Kolonia i Hamburg) zdumiewa mnie! Cała wojna nie mieściła w sobie dla mnie podobnej niespodzianki. Rady Robotników i Żołnierzy w Berlinie i w innych większych miastach, gdzie zapalają się od stołecznej pochodni, zmiana wyobrażeń i szybkość

przewrotu (niemal bezkrwawego na wstępie) nie da się pojąć! Gdzież sławna pruska dyscyplina, czyliż tylko narzuconą formą była?

Abdykacja Wilhelma II nie może również czynić wrażenia i nie poruszać wielkich zagadnień. Opuszcza tron ostatni autokrata, monarcha typu średniowiecznego, wierzący w swe posłannictwo od Boga przekazane – potomek ukoronowanych bandytów. Pragnął z państwa niemieckiego uczynić wszechświatową potęgę, panując na lądzie i na morzu opierał się na wojsku jako na żelaznym filarze, miał je za instrument siły, powolny w swoim ręku. Doprowadził do katastrofy – spoisty gmach legł w gruzach. Wilhelm zbrodniarzem, czy też koroną zgubnego systemu? Zło się mści krwawo! Jako bakterie tyfusu w epruwecie szczelnie zamkniętej – tak w zaplombowanym wagonie wysłano z Berlina Uljanowa-Lenina i Bronsteina Trockiego, aby roznieśli zarazę od Petersburga do Kamczatki, od Odessy do Archangielska. Te niecne sposoby przyniosły zasłużony odwet.

Nawet „Kurier Warszawski" bezkrytycznie drukuje in extenso ZGUBNĄ anarchię szerzącą proklamację samozwańczego „Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej" w Lublinie (rząd socjalistyczno-ludowy). Czytamy o przemianie donacji i majoratów na własność państwową, o przymusowym wywłaszczeniu i zniesieniu wielkiej i średniej własności ziemskiej, o upaństwowieniu lasów, przemysłu itd., itp. To wszystko w tonie dyktatorskim. Czytamy na wstępie, że:

Rada Regencyjna działająca na szkodę narodu polskiego z woli ludu przestaje istnieć. W razie gdyby Rada Regencyjna oraz rząd przez nią stworzony tej woli ludu nie chciały się poddać – ogłoszone będą za wyjęte spod prawa. Ściganie, ujęcie i oddanie ich w ręce naszych władz wykonawczych będzie obowiązkiem każdego obywatela.

Na mieście podniecenie. Już chodzą polskie patrole. Spotyka się grupy i grupki ludzi połączonych namiętną rozmową – są i pochody; wołają: „Niech żyje Piłsudski" „Precz z Radą Regencyjną". Niemcy łączą się z Żydami, co może być niebezpiecznym w skutkach. Zdziś już porzucił samochód i jeździ dorożką, aby się oczom nie narzucać.

Abdykacja Rady Regencyjnej jest kwestią dni czy godzin – szuka ona godnego wyjścia; dla dobra kraju, dla powagi nie chce się rozwiązać w próżnię, tymczasem zastępy niechętnych pragnęłyby ją wypędzić jak marnego szkodnika. Nadmiar w tym goryczy! Już słyszę dziś wieczór, że Piłsudski uszkodził swą popularność wizytą na Frascati.

Poniedziałek, 11 listopada

Dzień dzisiejszy należy do historycznych, do niezapomnianych, do weselszych, do triumfalnych! Jesteśmy wolni! Jesteśmy panami u siebie. Stało się i to w tak nieoczekiwanych warunkach.

Gdy dziś wyszłam na miasto, ulica wydała mi się rozśpiewana, młoda, rozkołysana poczuciem wolności!

Od wczesnego ranka odbywa się przejmowanie urzędów niemieckich przez władze polskie. Już przekazano w nasze ręce Cytadelę, którą zajął batalion wojska polskiego z majorem Szyndlerem na czele.

Niemcy początkowo usiłowali zatrzymać artylerię, jednakże ustąpili, oddali wszystkie działa itp. Komendantem Warszawy został pułkownik Minkiewicz. Milicji miejskiej przeciążonej pracą przychodzi w pomoc tworząca się „Straż Obywatelska" oraz młodzież szkolna. Jerzy noc całą spędził odważnie na mieście i z łupem powraca (odebrany bagnet niemiecki).

Maria Zdzisławowa Lubomirska (fot. *Pamiętniki księżnej Marii Zdzisławowej Lubomirskiej 1914-1918*, Poznań 2002)

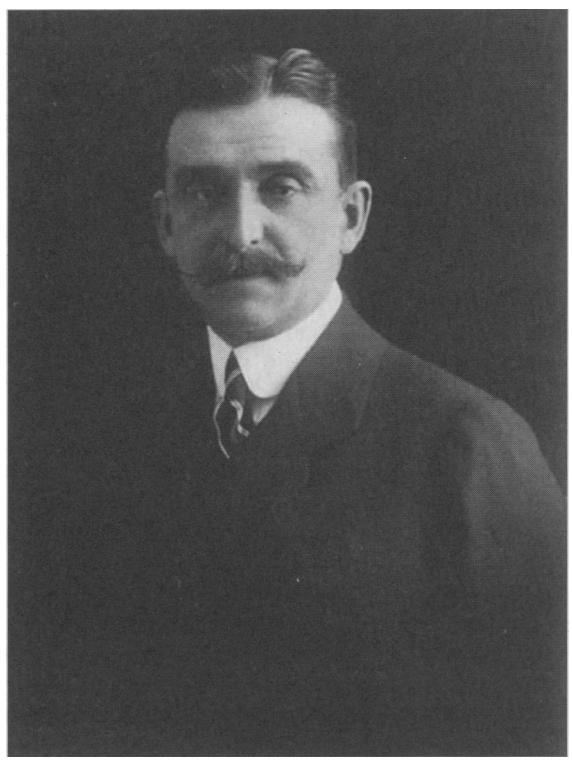

Zdzisław Lubomirski (fot. *Pamiętniki księżnej Marii Zdzisławowej Lubomirskiej 1914-1918*, Poznań 2002)

Liczne składy i zapasy niemieckie zdobywamy bez wielkiego wysiłku i prawie bez rozlewu krwi.

Niemcy zbaranieli, gdzieniegdzie się bronią, zresztą dają się rozbrajać nie tylko przez wojskowych, ale przez lada chłystków cywilnych. Widok niepojęty. Idąc ulicą, spostrzega się samochody niemieckie z czerwonymi chorągwiami – zatrzymują je Polacy i każą Niemcom wysiadać – zwracają im tylko krasne godło. Tak samo się dzieje z powozami i końmi. Cała ta akcja idzie gładko; podziwiam poddanie się butnych jeszcze przedwczoraj ciemięzców oraz łagodność Polaków wobec pokonanego wroga, trzyletniego udręczyciela i kata.

Dziwy, dziwy w naszej stolicy! Idą Niemcy rozbrojeni w czerwonych przepaskach – idą żołnierze w niemieckich mundurach z polskim orłem na czapce: to wyswobodzeni Polacy z Księstwa Poznańskiego. Idą żołnierze w niemieckich mundurach z francuską na piersi kokardą: to dzieci Alzacji i Lotaryngii – śpiewają pieśni francuskie i bratają się z Polakami.

Zbratanie zdaje się być ogólne – pękł przymus dyscypliny, runęły przegrody – ludzie są tylko ludźmi.

Już mamy w Warszawie niemiecką Radę Robotniczą i Żołnierską, która ukonstytuowała się szybko na wzór Berlina, zdegradowała swych zwierzchników bez ekscesów i bardzo rozsądnie przemawia – względem Polaków życzliwość głosi. Zmiana rządu, zmiana skóry.

Niemcy proszą o umożliwienie im jak najszybszego powrotu do ojczyzny – tu interes nasz wspólny, bo zaraza rewolucyjna niebezpieczna. Wystawiam sobie, co cierpieć musi niemiecka duma starszych oficerów i zwierzchników na widok tego całego rozprężenia i poddawania się bez potrzeby Polakom! Jak już wspomniałam, miejscami Niemcy się jeszcze bronią, jakby dla ratowania honoru. Zewsząd słychać strzały, lecz młodzież przyczyniająca się pozornie do utrzymania porządku strzela na wiwat z broni zdobytej na Niemcach i płoszy publiczność.

Żydzi zachowują się w sposób prowokacyjny, jak gdyby chcieli wywołać krwawe czyny i takowe w obliczu Europy przeciw nam wyzyskać. Szczęściem, że nasza publika cierpliwa.

Wśród ogólnego wesela Zdziś tonie w najgłębszej trosce, w najcięższym przygnębieniu i nie pokazuje się na mieście w obawie przed burdą uliczną. O sobie nie myśli WCALE, lecz losem Ojczyzny przejęty jako syn kochający bezsilną boleścią jest rozkrzyżowany. Daremnie wyjścia szuka, przeszłość przetrząsa, przyszłość w kirze czarnych przeczuć odczuwa. C'est une impasse!

Po czterech latach pracy tak ciężkiej, tak ofiarnej – potępienie rodaków i skok w próżnię. Piłsudski zawieść musi!

Wedle mnie było jedno wyjście. Oto tamci dwaj regenci powinni byli 7 października przelać władzę na Zdzisia. Zdziś miał rządzić sam, pod zmienionym tytułem. Była o tym poważnie mowa i wówczas, i po zamachu Świeżyńskiego; odzywały się głosy wśród wojska – zgoda nawet z łona lewicy. Arcybiskup byłby najchętniej zdał władzę na Zdzisia. Ostrowski udawał głuchego, Zdziś się nie upominał, a oderwane życzenia się nie skojarzyły. Przy tym brakło Zdzisiowi energii, siły, na ten czyn odpowiedzialny. Prezydent byłby się nań zdobył!

Co do mnie patrzę na mękę Zdzisia i czekam naszego wyzwolenia. Chudnę, topnieję, usycham, nawet w bucikach pustki.

Z gazet wyczytuję krańcowe twarde warunki zawieszenia broni pomiędzy Niemcami a Koalicją. To jest zdruzgotanie, ale Niemcy przyjmują, bo przyjąć muszą.

Cesarz niemiecki uciekł do Holandii, zamieszka w Amerongen w willi hrabiego Bentincke'a. Ogólna detronizacja w Niemczech, wszyscy monarchowie i książęta zrzekli się musowo lub dobrowolnie, król bawarski uciekł w góry.

Podobno przejechał przez Warszawę wielki książę Mikołaj Mikołajewicz. Niemcy przewieźli go do Kurlandii, kierując na Danię w obawie, by go Koalicja nie obwołała carem. Jest to tajemnica, a może wiadomość błędna.

Grozi obecnie Polsce niezmierne niebezpieczeństwo pod postacią blisko dwóch milionów jeńców rosyjskich, których Niemcy wysypią gołych i głodnych na stacjach pogranicznych Królestwa, nie interesując się ich dalszym losem. Przy braku wagonów nie zdołamy przewieźć tych ludzkich mas do granicy rosyjskiej i Ojczyzna nasza zalana zostanie szarańczą. Jeszcze jeden zamach Niemiec na nasz byt. Lada dzień rozpocznie się wyładowywanie tych nieszczęśliwych jeńców.

Za: „Pamiętnik księżnej Marii Zdzisławowej Lubomirskiej 1914-1918", Poznań 2002, s. 705-710.

* * *

Maria Dąbrowska, „Dzienniki 1914-1925". T.1. Warszawa 1998, Czytelnik*

11 XI 1918. Poniedziałek

W nocy była strzelanina. Rano od wczesnej godziny rozbrajanie oficerów niemieckich na wszystkich rogach ulic. Ale rozbraja nie tylko milicja, lecz i tłum, masa broni dostaje się na pewno esdekom, a nawet po prostu opryszkom. Przez cały dzień odbieranie od Niemców majątku wojskowego i przejmowanie władz cywilnych. Przez cały dzień na ulicach tłumy. Ruch tramwajowy normalny. Wszędzie samochody z naszymi żołnierzami. Piłsudski rozczarował mnie. Witany przez tłum, powiedział z balkonu, że jest chory na gardło. Cóż to w takiej chwili, w takiej chwili może kogo obchodzić. (A teraz mi się to właśnie podoba. Dopisek z maja 1943.)

W wielu względach czuję się bardziej ancien regime niż należąca do tego nadchodzącego świata. Mimo wszystko tak w Rosji, jak w Niemczech zwycięża teraz nie ideał ludowy, ale materializm nad wszelkimi postaciami ducha. Narody wczorajszego pokroju wolałyby zginąć niż przyjąć tak upodlające warunki, jakie koalicja narzuciła Niemcom, ale lud, dążący do „nowego życia", płaszczy się z pokorą i przyjmuje. Więcej we mnie zrozumienia dla tych marynarzy z Kolonii, którzy postanowili rozejmu nie przyjąć i całemu światu rzucić rękawicę, idąc na beznadziejną bitwę na morzu, niż dla tych, którzy są awangardą rewolucji.

Ha, z tego jednak wyjdzie idea i czysta piękność, ale w danej chwili będzie chodziło przede wszystkim o brzuchy.

Komendantem Warszawy został mianowany Minkiewicz (Fiut). To zdaje się dobrze. Już jest w Warszawie niemiecka rada żołnierzy, która porozumiewa się z Piłsudskim. Wielu żołnierzy niemieckich chodzi z czerwonymi znakami, inni, Polacy pewnie, z biało-amarantowymi kokardami u czapek. W tym wszystkim wstaje Polska. I nikt nie widzi, jak jest piękna. Nikt nie spostrzega w tym zgiełku.

* Str. 121-126.

12 XI 1918. Wtorek

Całą noc była strzelanina w różnych okolicach miasta. Przypuszczam po trosze, że to posterunki milicji i peowiaków strzelają tak dla dodania sobie animuszu i wypróbowania bojowej gotowości. Były jednak i starcia z wojskami niemieckimi, szczególniej przed ratuszem, którego nie chcieli oddać. We dnie spokój i prześliczna pogoda. Piłsudskiemu Rada Regencyjna oddała naczelne dowództwo nad wojskiem i tworzenie rządu. Odezwę, zawiadamiającą o tym podpisał również i Piłsudski razem z Radą Regencyjną. Wielu jego stronników oburza się na niego za to.

Ukazały się odezwy Piłsudskiego i Minkiewicza jako komendanta miasta. Naczelnikiem milicji miejskiej został Jur Gorzechowski. Pismo „Robotnik" redagowane przez Jodkę i Perla wychodzi z barwą bardzo, prawie że bolszewicko-czerwoną, o Piłsudskim już milczy. Podobno i to ma lewica za złe Piłsudskiemu, że najpierw z Kołem Międzypartyjnym gadał. Bohdan Straszewicz (mój cavaliere servente z balu studenckiego w Lozannie) wobec tego, że „komendant porozumiewa się z Radą Regencyjną" – złożył redakcję „Gazety Nowej". Widziałam dziś żołnierzy alzatczyków z francuskimi kokardami.

14 XI 1918. Czwartek

Wczoraj byliśmy wieczorem u pani Neli. Dziś Rada Regencyjna oddała władzę w ręce Piłsudskiego, który stał się de facto dyktatorem narodu. Mianował premierem nowego gabinetu Daszyńskiego. Dotychczas wszystkie kroki i odezwy Piłsudskiego są nadzwyczaj mądre, pełne umiaru i zarazem stojące na wysokości wszelkie miary przechodzącej chwili. Daj Boże, aby okazał się nie tylko fetyszem narodu, ale istotnie wielkim jego sternikiem.

17 XI 1918. Niedziela

Polska jest dziś w tak szczęśliwym położeniu jak żaden kraj w Europie, a jednak wszystko idzie jak z kamienia. Organizacja wojska i odsiecz dla Lwowa dziwnie opieszałe idą. „Lwów nie pasuje do socjalistycznego programu premiera", jak się ktoś złośliwie wyraził. Endecja porozumiała się z zaborem pruskim i razem wszczęli wielkie larum przeciw Daszyńskiemu. Jużcić i Daszyński nie jest najszczęśliwszą Piłsudskiego kreacją. O Zjednoczenie Polski wszak idzie nade wszystko, czego nasza krótkowzroczna pepeesowska publiczność nie widzi. Już słyszałam ludzi, jak Mortkowicz, którzy się na gabinet bez Wielkopolski godzili. Endecja wysunęła na premiera Korfantego, o którym ku mojemu zdumieniu z czułością i uznaniem mówi... panna Stefania Sempołowska. Swoją drogą charakterystyczne jest, że Piłsudski póty miał „bezwzględne zaufanie", póki siedział w Magdeburgu, gdy tylko zjawił się i palcem ruszył, ludzie, którzy „poddali mu się bez zastrzeżeń", są już przeciwko niemu. Równie jak fetyszyzmu dla Piłsudskiego nie rozumiałam, tak dziwne mi jest i to stanowisko. Dziś endecja wielki pochód narodowy urządziła, na którym bardzo niesmaczne było niesienie jak Matki Boskiej portretu Wilsona. Okrzyki na cześć Wilsona „obrońcy narodu polskiego" i koalicji. Jest to mimowolna (bo chyba nie sprytnie robiona) reklama dla najazdu nowego – amerykańskich wytworów i kapitałów, które się już szykują na Polskę, a naiwni i dobroduszni Polacy już braterstwo broni i idei widzą w Amerykanach. A jednak mimo całej dobrej woli, z jaką roztrząsam ich politykę, endecy nie przestają mi być wstrętni. To prawda, endecja jest taka, jaką jest większość społeczeństwa, i dlatego ma siłę, ale ta siła polega na pobudzaniu i wykorzystywaniu pod maską idei niskich instynktów mas. Jest to najbardziej tartuffe'owata partia w Polsce, choć nie kłamie ona tyle razy, co lewica, która znów żyje fikcją, blagą, szantażem, płytkością,

tupetem, własną lekkością i pustką głów, które ją przedstawiają i które właśnie dlatego, że tak lekkie, nie mogą utonąć. Istotna wartość Polski jest gdzieś między wierszami.

Była u nas Zośka Poniatowska z Basią. Mówiliśmy, acz nieco oględnie, o lubelskim rządzie. Ona jest tym wszystkim trochę zmartwiona.

Na zapytanie, jakie jest stanowisko p. Juliusza, ministra przecie w owym rządzie, przytoczyła jego słowa: „Władza leżała na ulicy. Trzeba ją było podnieść, a nie wiedzieliśmy, że Komendant tak rychło wróci".

20 XI 1918. Środa

Utworzył się więc rząd. Jako fachowcy ci ludzie prócz może Supińskiego i Moraczewskiego nie przedstawiają nic – jako gabinet polityczny są zbyt jednostronni, wszak to wszystko prawie pepesowcy. Ale bądźmy lojalni. Bądź co bądź jest to pierwszy rząd Niepodległej Polski.

Czekajmy na czyny – exposé rządu, z wyjątkiem kawałka o nieograniczonej wybieralności urzędników, co jest śmieszne i niemożliwe – exposé to jest dobre. Opozycja jednak przeciw rządowi jest ogromna.

Narodowa Demokracja zajmuje stanowisko nieprzejednane.

* * *

Władysław Broniewski, „Pamiętnik 1918-1922", Warszawa 1984*

Zanotował pod datą 6 listopada 1918: Idę do wojska (niech szlag trafi) pełen rezygnacji względem moich tak ślicznie zapowiadających się studiów.

[I dalej]:

9 listopada

„Być albo nie być – oto jest pytanie."

Nigdy jeszcze nie czułem się tak głupi jak dziś. Jestem oto gotów oddać się jakiejkolwiek robocie, wyjechać, wstąpić do wojska lub nie i nie wiem, co ze sobą mam zrobić!

Studenci – bydło; owczy pęd ich ogarnął i oddają się tym malowanym hasłom, które dawno już wyszumiały we mnie.

Nie biorą mnie już patriotyczne słówka: jedność narodowa, karność żołnierska – ja już to znam. Czegóż więc pragnę?...

Kustroniowi wiele zawdzięczam: rozjaśnił mi on szalenie horyzonty społeczne, tak że jestem zdeklarowanym socjalistą. Ale metody działania? – Wstąpić do wojska? – Ą jakież mam gwarancje, że wojsko to nie będzie użyte do akcji kontrrewolucyjnej? Dyrektoriat? – trzeba by go z bliska zobaczyć. Najprawdopodobniej więc wyjadę sam do Krakowa, biorąc zarówno cywilne, jak i wojskowe ubranie, i tam się rozpatrzę.

Nie mogę jakoś przekonać się do naszych esdeków i lewicy – bardziej może skłaniam się ku frakcji, ale tu znów boję się żyrondy...

Trzeba tu ręki Komendanta!

Człowiek, któremu prawie zupełnie mogę zaufać.

* Str. 44-46.

11 listopada

Dwa dni = sto lat.

Chcę napisać coś mądrego na ten temat, ale w głowie mi się kręci. Wczoraj w nocy prawie nic nie spałem. Strzały, krzyki. O trzeciej Zenek przyjechał. Rano lecę do „Koła".

Niemcy bez broni – gdzie pojawią się z bronią, są natychmiast rozbrajani. Kupuję „Die rote Fahne", ehemalige „Lokalanzeiger". Zbiórka w „Kole". Pluton. Mundur. Czerwone paski.

Immatrykulacja. Zastępca komendanta dzielnicy. Cztery godziny byłem sam tam komendantem. Urwanie głowy!...

A najważniejsza rzecz, że Komendant w niedzielę rano wrócił. Diabli mi nadali być całą noc na tańcach i zaspałem.

Teraz chociaż wiadomo, czego się trzymać...

Cały gmach ucisku, dławiący kraj przez trzy lata, runął w ciągu jednego dnia...

Zniknęła gdzieś ta pycha żołdacka pruska – żołnierze zrywają bączki cesarskie i noszą czerwone wstążki. Nastrój względem nich dość sympatyczny; psują go niezmordowani poszukiwacze „bolszewizmu"... Chcą wywołać nastroje pogromowe.

Socjalistów wszystkich naturalnie kreuje się na Żydów. Podczas mego urzędowania wysłuchałem kilku denuncjacji na „bolszewików". Baranie głowy! – oni myślą, że my się zbroimy dla zwalczania rewolucji.

Program rządu tymczasowego jest taki, że nic w nim ująć, a niewiele dodać by można.

Piszę przy akompaniamencie strzałów na Bielańskiej. Nie mam pojęcia, co się tam dzieje. Jutro o ósmej wracam na służbę.

16 listopada

Dwunasta godzina. Piszę na służbie. Sterczę tu już czwarty dzień, i złości mnie ta bezcelowa orka – zwłaszcza że mam taką niewdzięczną funkcję sierżanta służbowego. W naszych stosunkach służbowych najwyższy bałagan. Obsadza się te punkty po mieście i nie wiadomo, co dalej będzie. Przy tym stosunek do wszystkich eks-oficerów jest arcykomiczny: oficer z POW, oficer od Dowbora itp. wyobrażają sobie, że są strasznie ważni. Dwóch takich poruczników oddałbym za jednego naszego kaprala! Najlepszy przykład na tym chorążym, który pełnił w komendzie wartę.

A nasza wiara nie leci jakoś na te tytuły: frajter od czternastego roku podaje się za frajtra i pełni służbę, jaką mu dadzą.

„Dziadek nam krzywdy nie da zrobić" – myśli sobie stary legun i czeka na rozkazy.

Warto by wrócić do swego pułku. Dostanie się człek gdzieś do obcego oddziału i będzie może pod komendą jakiegoś „oficera z POW" albo innego majowego rekruta. W każdym razie rzeczą jest pewną, że znów w wojsku trzeba będzie zmarnować jakieś parę miesięcy. – Niech szlag trafi!...

Gdy jestem w otoczeniu starej wiary, to czuję, jak wraca ten dawny duch leguński, beztroski „nasermateryzm", i to mię podnieca. Swoją drogą wkrótce powraca refleksja i żal za „cywilem".

Komendant jest Dyktatorem.

Upraszcza to o wiele moje wątpliwości społeczno-polityczne; można bezpiecznie wstąpić do wojska i nie obawiać się, że będzie ono narzędziem w niepowołanych rękach.

Fatalnie jest, że nie mam kontaktu z żadną organizacją: z tego powodu we wszystkich „tonkostiach" politycznych ciemny jestem jak tabaka w rogu. Kombinuję jedy-

nie z gazet i rozmów przygodnych. Mam wrażenie, że Komendantowi zależy na tym, aby wszystkie jego zarządzenia miały pewną cechę legalności wobec społeczeństwa. Delegatom demonstracji PPS powiedział, że o ile tu zajdzie jakiś gwałt, to on ustąpi.

Gwałtu nie było i legalnie na Zamku zatknięto czerwony sztandar.

Mój sztandar!

Zanim jeszcze abdykowała Rada Regencyjna, Komendant mianował prezesem ministrów Daszyńskiego. Rząd się tworzy.

Rząd nie wiem, czy będzie koalicyjny, w każdym razie przewagę będzie miała frakcja i ludowcy.

Esdecy i lewica psy wieszają na Daszyńskim, a endecja, niby to zgadzając się na wszystko, kopie dołki pod Komendantem.

Imienia Komendanta używają teraz ci, którzy rok i cztery lata temu nazywali go zdrajcą, bandytą itp. Jeszcze do dziś mam w pamięci artykuł z „Kuriera Polskiego" w sierpniu 1914 o „hecy strzeleckiej". Jeżeli endeków Komendant nie zdoła poskromić, to na skutek kontrakcji lewicy może się u nas wytworzyć stan, jaki wrogowie rewolucji nazywają „bolszewizmem". (Słowo „bolszewizm" ma tę osobliwą własność, że może posiadać nieskończenie wielką liczbę znaczeń).

Spać mi się chce. Spróbuję zawinąć się w pruski kożuch i spać, jak już spałem dwa razy.

* * *

Adam Grzymała-Siedlecki, „Rozmowy z samym sobą". Znak .Kraków 1972*

[O Związku Pisarzy „Orła Białego"]

Działo się to w listopadzie 1918 r., zaraz po kapitulacji Rzeszy niemieckiej, po entuzjastycznym rozbijaniu wojskowych niemieckich na ulicach Warszawy, w pierwszych więc dniach wskrzeszenia niepodległości Polski.

Nastrój był bardziej niż podniecony, obalenie 125 lat niewoli, realizacja snów, marzeń i tej centra spem nadziei tylu pokoleń i sakralnego, można by powiedzieć, patriotyzmu polskiego z mesjanizmu rodem, dawało klimatowi psychicznemu napięcie bliskie ekstazie. Ludzie żyli w uniesieniu, poważnieni zapominali uraz i nawet krzywd i bratali się z winowajcami; całe kolejki ludzi nawet niezamożnych wystawały przed okienkami stworzonego w pośpiechu Banku Narodowego, by ojczyźnie oddawać czy to swoje oszczędności, latami ciułane, czy choćby ślubne obrączki złote, które zastępowali – jakże zaszczytnymi – żelaznymi. Pochody narodowe i sztandary biało-amarantowe witano na chodnikach gorącymi okrzykami i łzami wzruszenia.

W takiej to temperaturze moralnej – u nas w „Tygodniku Ilustrowanym" powstała myśl, by pisarze polscy w jakimś apelu zwrócili się pismem otwartym do pisarzy Ententy – więc literatów: francuskich, angielskich, włoskich, literatów Stanów Zjednoczonych i wszystkich krajów, które w większej czy mniejszej mierze przyczyniły się do wyzwolenia Polski z niewoli – z podziękowaniem, na ich ręce przesłanym, dla ich ojczyzn a następnie z wypowiedzią, czym kultura polska chce być, jakim sprawom

* Str. 99.

historycznym służyć. Wtajemniczyliśmy (Zdzisław Dębicki, Or-Ot i piszący te słowa) kilku co przedniejszych pisarzy: Reymonta, Weyssenhoffa i wielu innych. Stanęło na tym, by resztę pisarzy skrzyknął najstarszy śród nas, a powszechną powagą otoczony, Aleksander Świętochowski. Delegowano doń Weyssenhoffa i mnie.

Nestor mieszkał – jeśli mnie pamięć nie zawodzi – na drugim piętrze w jakiejś nie bardzo podłej kamienicy na ulicy Wilczej. Idea odezwy do pisarzy Ententy zachwyciła go; godność „protektora" imprezy przyjął z serdecznym wzruszeniem, podziękował. Zakłopotała go tylko sprawa: „Zwołani pisarze muszą się zebrać na jakieś gremialne posiedzenie; z natury rzeczy, jako konwokator, muszę na to posiedzenie przybyć, a to już druga połowa listopada, od czterech lat jesienią, zimą i wczesną wiosną nie opuszczam mieszkania, by się nie zaziębić, bo już jestem, moi panowie, człowiekiem wiekowym". „A ileż lat czcigodny pan sobie liczy?" – zainteresował się Weyssenhoff. „Sześćdziesiąt dziewięć jak obszył". Notuję tu – niejako w nawiasach – ten szczegół wizyty, by czytelnik dzisiejszy mógł nabrać pojęcia o tym, jak przedwcześnie przechodzili wówczas ludzie w stan grzybienia.

Ważność sprawy przemogła jednak strach w dobrowolnym starcu: „Niech tam, przyjdę – rzecz taka ważniejsza od czyjejś choroby czy nawet" – nie dokończył.

Zebranie odbyło się „pod laską marszałkowską" Świętochowskiego, ustalono główne myśli, które odezwa powinna zawrzeć – nie chwalący się, a właściwie chwalący się, zapisuję, że zredagowanie ostatecznego manifestu – na wniosek „marszałka" – powierzono mnie; zadanie swoje spełniłem. Na następnej sesji gremialnej został on odczytany, przyjęty, przełożono go na język francuski i angielski i specjalna komisja (Zdzisław Dębicki – i jeszcze dwaj inni) zajęła się rozesłaniem odezwy do odnośnych zrzeszeń literackich w stolicach zachodnioeuropejskich i Waszyngtonie.

Natychmiast po tym drugim zebraniu Władysław Jabłonowski wystąpił z projektem, by przygodne zbieranie się literackie, ale już w znacznie szczuplejszym gronie, przetworzyć w stały związek pisarzy o określonym filoententowym zabarwieniu kulturalnym i politycznym. Postanowiono do związku takiego zaprosić pisarzy, którzy czasu okupacji wyraźnie i czynnie zapisali się orientacją antyniemiecką i antyaustriacką. Tak powstał Związek Pisarzy „Orła Białego".

Przewodnictwo oddano w ręce Świętochowskiego, wiceprezesami zostali Weyssenhoff i Reymont, sekretarzem – Perzyński. Grono związku stanowili: Władysław Jabłonowski, Or-Ot, Dębicki, Ignacy Oksza Grabowski, Andrzej Niemojewski, Władysław Rabski, Kazimierz Ehrenberg – tych pamiętam. Co do mnie, to acz wezwany – trochę wahałem się, czy wstąpić do Stowarzyszenia; nie dla tego, by mi nie odpowiadały poglądy stowarzyszonych, lecz z powodu, że nurt polityki przeważał w Związku nad wszystkimi innymi aspiracjami, a od dawna już trwałem w przekonaniu, że nie ma gorszych niż artyści polityków; ostatecznie jednak (dla kompanii cygan dał się powiesić), wpisałem się, by współpracować z tak świetnymi kolegami. Moje przeświadczenia o sprzeczności talentów artysty i polityka niebawem sprawdziły się na działalności Związku – właściwie na bezdziałalności.

Urządziliśmy w Teatrze Wielkim wspaniały galowy wieczór na cześć Ententy, z hymnami, z przemowami i entuzjazmem publiczności, która wypełniła salę ponad komplet, ale i na tym właściwie dynamika akcji wyczerpała się. Dyskusje na kolejnych sesjach graniczyły nieraz z humorystyką. Tak na przykład na pierwszych już posiedzeniach koło pięciu godzin strawiono nad zagadnieniem czy na pieczątce Związku ma być napis: „Związek Pisarzów", czy „Pisarzy". Adwersarze imponowali zarówno znakomitym znawstwem ducha gramatyki jak i zaciekłą nieustępliwością. Szyderczy jak

zawsze Perzyński w pewnym momencie sporów podsunął mi kartkę ze słowami: „Postaw wniosek by sprawę rozstrzygnąć per orzeł czy reszka".

Do sprawienia pieczątki bodaj nie doszło. Po kilku czy kilkunastu jałowych raczej posiedzeniach, Związek przestał istnieć sam nie wiedząc kiedy. Rozpadał się od wewnątrz: Ehrenberg związany z „Kurierem Porannym" przestał uczestniczyć z chwilą, gdy gazeta ta stała się organem Piłsudskiego. Niezadługo potem Or-Ot zamanifestował swoją „belwederskość" Pieśnią o naszym komendancie i panegirycznym finałem: „Bóg ci zapłać za ojczyznę panie komendancie". Dokonał dzieła Niemojewski.

* * *

Zofia Nałkowska, „Dzienniki, t. 3: 1918-1929", Czytelnik, Warszawa 1980*

Górki, 11 XI 1918

Józefowa przyszła z miasta i mówi: „ojej, żandarmom odebrali strzelby, konie, w ogóle wszystko. Masę tam znaleźli mięsa, kaszy, wszystkiego pilnują, nie wolno nikomu nic wziąć. Pijane już były i jeden strzelił, ale go zranili i felczer robi opatrunek. A te, to same młode, palta pozdejmowali, pod spodem już miały mundury, przypasali sobie strzelby i wesli na konie". – Wczoraj jeszcze przyjechał Janu, chociaż już prawie nie miał czasu; powiedział o powrocie Piłsudskiego i swojej nominacji. Rząd ludowy z Lublina ma zwyciężyć. – Ach napatrzyłam się tu tylu rzeczy nienawistnych przez ostatni rok, że się nie umiem cieszyć ani wierzyć w trwałość zwycięstwa. Tyle pracy żelaznej, tyle pochmurnego uporu w nadziei, tyle krwawej udręki – czyż takie rzeczy kiedykolwiek naprawdę zwyciężają.

Dzieliłam z nimi nie trud niestety, ale wszystkie jego gorycze – a dziś pozostaję w tyle, pełna niedowierzania i głuchej, kobiecej trwogi o to, co pewno będę musiała przecierpieć. Pożegnałam Jana dziś rano na dłużej, zostałam tu. Przez dni ostatnie matka była ciężko chora na epidemiczną teraz, groźną, często śmiertelną grypę. Pielęgnuję ją i kocham. Na toż samo chory Jan pojechał na pracę ciężką i bardziej, niż dotąd, niebezpieczną.

Czytałam:

P. Adam: La Ruse.6 Pogłębienie i rozum z jakąś niemożnością, aby to było zajmujące. Czas dawny, styl ścisły, drobiazgowy, trochę stendhalowski. Na tle spisków masońsko-carbonarowych za Karola X pracowita psychologia małego człowieka, nie dość ciekawa, zbyt sumienna. Za to opisy tłumów, scen zbiorowych pijaństwa, tumultów – bardzo dobre.

Górki, 13 XI 1918

W Warszawie zrzucenie okupacji odbywa się mniej gładko, krew się leje. Ale wcale nie to już dla mnie jest teraz najgorsze. Wojna i Jan oduczyli mię czułostkowości. Ważne są inne sprawy. Polska, szalona i radosna z odzyskanej wolności, leży dziś między Rosją bolszewicką i zrewolucjonizowanymi, socjaldemoniszczących aspiracji, dla nich zbyt jeszcze jest cenne odzyskanie kraju. I tym razem los chciał, że Polska jest spóźniona. Gdy w Niemczech zrzucono Wilhelma, to na gmachach rządowych zamiast barw narodowych wywieszono czerwony sztandar. Nie jest wcale dziw-

* Str. 40-43.

ne ani niesłuszne, że Polacy u siebie z tym samym nakładem rewolucyjnej energii zawieszają barwy narodowe; chciałabym nawet ja osobiście, aby przecież pozwolono im wisieć choćby parę miesięcy. – Ale czuję w tym niebezpieczeństwo nowe i nietrwałość. W rewolucjach zwycięża to, co najjaskrawsze, najdalej idące. Rewolucja musi dojść ad absurdum, aby się sama wyczerpać i zniszczyć. Jeżeli nie zawsze tak jest, to jednak zdaje mi się, że tak być powinno. Ale nie jestem temu rada, sama jestem też jak gdyby nieco spóźniona. – Nie idzie mi w szczególności o [...] formy rewolucji rosyjskiej; przypuszczam skwapliwie, że niemiecka potrafi tego jakoś uniknąć.

Że Austria niemiecka, Węgry, Holandia będą innym terenem przewrotu niż [...] Rosja. Ale ten ogólny kryzys Europy niejako obowiązuje Polskę. A tu źle się dzieje. – Dekret rządu lubelskiego brzmiał tak mocno, jego program był w całości do zaakceptowania – a jednak przyjazd Piłsudskiego nie uratował go od dziwacznego, niezrozumiałego dla mnie rozbicia. Widok odezwy, podpisanej przez Radę Regencyjną, już niby zwaloną przez dekret lubelski, z Piłsudskim łącznie, był dla mnie okropną niespodzianką, chociaż dowództwo całej siły zbrojnej oddawała wreszcie w jego ręce. Zupełnie to nie było potrzebne już teraz, ostatnie dni warszawskie i bez tego dawały mu tę władzę od ludu. – Jestem daleko i niedokładnie wszystko wiem, zapewne były jakieś ważne względy. Ale na tę chwilę postulat jedności narodowej, w ten sposób salwowany, jest znikomy wobec wagi, jaką miałoby dla ościennego socjalizmu zapanowanie Piłsudskiego, jako jednak socjalisty, na drodze przewrotu, a nie legalnego przejęcia władzy (...).

Górki, 14 XI 1918

Z paru przyczyn jestem spokojniejsza. Dostałam dziś pierwszą wiadomość od Jana. Przeczytałam numer „Robotnika", z którego widzę, że stanowisko PPS mi wystarcza. Z pism też widzę, że socjaldemokracja Niemiec jest bardzo odmienna od rosyjskiej w technice rewolucji i w formie rządu. Z tym można się całkowicie solidaryzować. Wreszcie dowiaduję się, że Piłsudski mianował prezesem gabinetu Daszyńskiego, tego samego, który stworzył rząd lubelski. Wczorajszy strajk i manifestacje PPS miały jako rezultat zawieszenie na Zamku czerwonego sztandaru obok narodowego. – Jeszcze zresztą nie wszystko napełnia mię radością. Zabawne jest, iż zapominam, jak nienawistny był mi ten sam Daszyński za czasów sprawy Brzozowskiego. – Ale teraz taki obrót sprawy jest najmniej zły. – Nurtują mię tylko konieczne, a przecież tak niepotrzebne represje względem bolszewickiej SD; nic tutaj nie wiem, kto je i jak sankcjonuje. – Ciekawam, czy sprawdzi się moje przypuszczenie, iż niejaki rozbrat PPS i Piłsudskiego jest chwilowym i dość mądrym machiawelizmem obojga, a przynajmniej jego. –

O Janie czytam, kim jest. Jego podziemne dzieje stają się wreszcie znane. Ciekawam, czy się cieszy, bo na ogół nie lubi swej szczególnej sławy. – Mam chwile słabości, gdy pozwalam sobie być dumna. Jestem kobietą – i to mię tłomaczy. Zresztą wcale nie dlatego go kocham.

* * *

Maria Bogusławska

Jak Marysia Niemca rozbroiła

Marysia, piętnastoletnia wiejska dziewczyna, hoża i wesoła, wbiega zadyszana.

Opowiem wam hecę! hecę! hecę!... Przyszedł do nas Niemiec, ziandar... Nie, to trza opowiedzieć od początku! Wojtuś... niby mój brat, chciał koniecznie gewera... Fe, tak to się nie nazywa po polsku. Prawda!... Chciał mieć własny karabin, żeby mieć z czym pójść do polskiego wojska... Eli, nie!... to jeszcze inaczej trza zacząć! Jak gruchnęło po kraju, że Niemców trza wygnać z Polski, to jęły się chłopaki rozbrajać i niemieckich piechurów i konnicę i tych wartowników, co stojali przy każdym domu, na którym powiewała niemiecka fana!.. (Uderza się, po ustach). A bodaj – żeś się własnym językiem udławiła!... Jak to sobie człowiek przez ten niemiecki najazd prędko gębę zapaskudził!...

Rozbrajały tak chłopaki rok... dwa... sto lat... Et, bajam jak w bajce, a to wszystko wczoraj rano się zaczęło, a dziś już się skończyło! Zmykały przechery z cielęcymi skórami, co tu chciały być panami!... Tak, to było kochanego, złotego 11 listopada 1918 roku. Trza to sobie dobrze zapamiętać, żebym się nie omyliła, jak zgrzybiałą staruszką będę to opowiadać moim malutkim dzieciom! Otóż jedni chłopacy rozbrajali, a drudzy szli do komendy zapisywać się na ochotników do polskiego wojska.

W naszej Wólce nie było kogo rozbrajać, bo się ani jeden psubrat nie przybłąkał przez całą wojnę. Raz po raz przyszło ich dwóch albo trzech, pozabierali nam kury, masło, ser, zapłacili byle co i wracali do miasta. A raz to jeden ziandar, psiawiara, tak matusię urządził: przyszedł i powiada do mamy; (naśladuje jakby szczekanie) „gieb mir"... i powiada jakoś po niemiecku, że koguta. Matusia nie zrozumiała, więc mówi, że nie wie czego on chce, to on powtarza: „gieb mir kukuryku!" Matusia chciała powiedzieć, że nie ma kogutów tylko same kury i to kokoszki, więc peda: „habe nur kukuryku frau". A on śmiał się i naszczekuje po swojemu! (naśladując) „gieb mir hier." Mama strapiła się bardzo, ale co ma robić z takim, co ma karabin na plecach, bagnet u boku, rewolwer w kieszeni, dwie mocne pięści u każdej ręki i ostry grot na łbie! Złapała kurę, tę rudą, bo już przestała nieść i daje mu. On pyta się ile; mama zdziwiła się bardzo, że on się oto pyta, bo to tałatajstwo zwykle kupowało na darmochę i pokazuje na palcach, że sześć marek. Wyjął trzy dwumarkówki i to takie nowiuteńkie i kładzie na stole, mama rada, że to się tak dobrze kończy, zgarnęła pieniądze, aż tu ten przeklęty pikielhaubnik wyjmuje nóż, przekrawa gardło kurce i wyjmuje z woli trochę wilgotnego ziarna... znalazło się tam i trochę pszenicy... Gwałtu, rety! krzyczy, wrzeszczy coś po niemiecku i ciągle do mamusi: „zwei kundel". Mnie pasja brała, że on tak mamie brzydko przymawiał jak psu, bo w dworze był szkaradny buldok, o którym mówiło się – zwei – nos... O zwei – kundlu jeszcze nie słyszałam i dopiero później, gdy sprawa poszła do sądu, dowiedziałyśmy się, że to miało być zwei–hundert, to znaczy dwieście marek. Bo on zrobił awanturę, że mama powinna karę zapłacić za to, że pszenicą drób karmi. A to było niesprawiedliwe, bo nasze kury takie mądre... same z siebie – że zawsze na dziedzicowe podwórko chodzą się pożywiać... Co to była za heca!

Ale prawda, ja miałam opowiedzieć dzisiejszą hecę, bo jeszcze lepsza!...

Otóż dziś rano poszłam do miasta po cukier... nastałam się w ogonku! Ale, ale, wszak ja miałam od czego innego zacząć!... Otóż nasz Wojtuś pragnął pójść do wojska i nie z pustymi rękami. Bo to inne chłopaki poodbierały wczoraj Niemcom kara-

biny... Jeszcze dziś widziałam jak poszłam po cukier... stoję sobie w ogonku, stoję... aż tu... Ale, prawda, miałam mówić o Wojtusiu!...

Wczoraj rano poszedł do miasta, z nim jeszcze siedmiu z naszej wsi, zapisać się do wojska, widział tam jak chłopcy ze szkół, nie starsi od niego, rozbrajali różnych kapitanów, hauptmanów, pułkowników i innych bolszewików. Strasznie serce go bolało, że nie mógł tak samo rozbrajać. Ale oni mieli już tak przeznaczone... Otóż wracają oni z zapisu (wylicza bardzo prędko). Wojtuś, kulawy Jasiek, Władek Zyz, Jasiek od Gębów, Staszek Chyla, Szymek Wzdęty, Józek Wywrotny i Felicjan, aż tu widzą: jadą przed nimi dwie fury, na nich cztery świnie, dwa cielaki, trzy owce i cała gromada gęsi, kaczek, kur, wszystko to kwiczy, ryczy, beczy, gęga... cała kapela!... Przy furach idzie dwóch ziandarów: ten co nam dwieście marek kary wsuł i drugi co to w Węglowicach starą Janaczkę tak pobił, że cztery niedziele chora leżała i jeszcze jej kubełek z olejem zabrał i makuchy także. Otóż powiada Władek Zyz: „Co to po wsiach narekwirowali i tera za granicę wywożą" – A no pewne – odpowiedzieli chłopaki. Tak wtedy Józek Wywrotny peda: „Zabierzma im to" – Dobra nasza! krzyknęły chłopaki. A Wojtuś na swoje nieszczęście jął im odradzać – Dać pokój – peda – oni mają gewery i rewolwery, jeszcze który wystrzeli, zabije którego. Ale tamte chłopaki powiedziały, że trza ryzykować, ojej!... „Jeżeli pod Racławicami kosami wzięli armaty, czemu pod Psią Wólką nie ma się pięściami wziąć cieląt, świń i Niemców".

Przegłosowali go: (wylicza bardzo prędko) kulawy Jasiek, Władek Zyz, Jasiek od Gębów, Staszek Chyla, Szymek Wzdęty, Józef Wywrotny i Felicjan. Przygotowali się, zaszli ich z tyłu, kulawy Jasiek jednemu, Felicjan drugiemu zarzucił kapotę na głowę, Jasiek od Gębów i Józek przytrzymali, a Staszek i Szymek Wzdęty rozbroili, Wojtusiowi pozwolili ino łapy im związać. No, ale bronią podzielili się między sobą, a Wojtuś został z figą, toteż jak wrócił do domu rzewnymi łzami płakał, że tak się wyszykował. A ja mam takie serce, że gdy widzę, że ktoś płacze, to i ja płaczę także. (Pochlipuje, ocierając nos i oczy).

A Wojtuś tak płakał, tak mu łzy kapały, i mnie by kapały, alem oczy fartuchem otarła, a że Wojtuś nie ma fartucha, jął oczy i nos obcierać w różową serwetę, co na stole leżała, ażem mu dała w kark, raz i drugi, że przestał płakać.

Ale dziś rano, jakiem poszła po cukier i stałam tak, stałam w ogonku, to przypomniało mi się, że Wojtuś płakał i żal mi się go zrobiło tym bardziej, że kobiety w ogonku chwaliły się, jak to ich chłopaki karabiny i rewolwery pozdobywały. Ale co ja mogłam zrobić nieszczęsna kobieta?... I cukru się nie doczekałam; wyszedł mielicaj i powiedział, że rozsprzedany, że kto nie kupił niech przyjdzie po południu.

Wróciłam do domu, zziębnięta jak pies w mroźną noc nad ranem, myślę: zagrzeję sobie herbaty, a herbatę mamy pyszną, choć nic do herbaty niepodobna, bo to z borówczanych i poziomkowych liści. Matusia co jakie trzy dni garnek naparzy, to potem się odgrzewa, ile razy kto ma ochotę. Zabieram ja się tę herbatę grzać, a tu wchodzi Niemiec, z karabinem w łapie i zaraz od proga szczeka po swojemu (naśladując) „habt ihr hier Bier". Ja się rozłościłam i odszczeknęłam mu: „hier Bier!", ażeby wiedział, że to nie szynk, trzęsłam przy tym głową, a on kiwnął nosem i powiada: „gut", przyczem siada za stołem, karabin stawia przy sobie, rewolwer z odwiedzionym kurkiem położył na stole i jakby był u siebie w chałupie, zdejmuje buty i przewija sobie onuce. Złość mię wzięła na owego Szwaba, ale co robić!...

O, żeby on nie miał rewolweru, karabina i tego grotu na łbie, to sama bym mu rady dała! Gdyby tu była Wojtusiowa kompania: (wylicza bardzo prędko) kulawy Jasiek, Władek Zyz, Jasiek Gębów, Staszek Chyła, Szymek Wzdęty, Józek Wywrotny i Fe-

licjan, to zadaliby mu bobu!... Aż tu raptem śmigło mi do łba w głowie, że możebym ja sama Niemca rozbroiła?... Jak tylko tak pomyślałam, zaraz cichutko, na palcach zachodzę go z tyłu, ale on uważał – wnet się obrócił, spojrzał na mnie ostro i już po rewolwer sięga. Udałam, że szłam tylko po coś do okna i wzięłam garnek z sodą, ale serce waliło mi w piersi jak młotem. Aż tu na domiar złego, jak on Szwab huknie pięścią w stół, byłam pewna, że już strzelił do mnie, aż mi garnek z rąk wyleciał i rozpadł się na kawałki, bo i tak dno miał tylko wklejone.

Uklękłam na ziemi, klnę Szwaba w żywe kamienie, a on pięścią w stół i drze się: (naśladując szczekanie) „Bier! hier! mir!" A ja tymczasem zbierając sodę poszłam po rozum do głowy; myślę sobie: nie uda się przemocą, może poradzi tu podstęp! Podchodzę do komina, wzięłam z półki dzbanek szklany, zlałam w niego herbatę i dolałam do niej wszystką okowitę, co się tatusiowi od smarowania boku ostała; bo przecie piwo musi mieć jakąś moc!... Ale piwo nie będzie piwem, jeśli na niem nie będzie się burzyć! Ale żeby tak o karabin było łatwo jak o pianę! to jużbym całe polskie wojsko uzbroiła! Wzięłam garść sody. Tak jak ją zebrałam z kurzem i z popiołem, naskrobałam trochę mydła, zamieszałam wszystko palcem i niosę Szwabowi dzbanek razem ze szklanką, a on jak sobie nalał pierwszą, to nie odjął jej od ust, póki do dna nie wypił, a potem to się otrząsnął, skrzywił, splunął, ale drugą sobie nalał i tak wypróżnił cały dzbanek.

Pił, pił, póki go nie zamroczyło, a wtedy zaczął się kiwać, nosem parę razy sturchnął stół, aż się wygiął ździebko w tym miejscu i zasnął. Na to tylko czekałam, podeszłam śmiało, łeb mu pasiastym fartuchem obwiązałam przy szyi, łapy związałam mu rzemieniem, złapałam karabin, chciałam i rewolwer zabrać, ale się bałam, bo miał taki nos zadarty do góry, więc i z karabinem jeno w garści wyleciałam przez chałupę i jęłam zwoływać chłopaków. Nadbiegli z Wojtusiem: kulawy Janek, Władek Zyz, Jasiek od Gębów, Staszek Chyla, Szymek Wzdęty, Józek Wywrotny i Felicjan. Ja zara karabin oddałam w rękę Wojtusiowi i buty ziandarowe też, a inne chłopaki wpadły do izby i zabrały rewolwer i ładownicę. Ja sobie ino on hełm, co to pikielhauba nazywają, wzięłam, bo to i pamiątkę będę miała z tego, a i przydać się może w chałupie... jak to przy małych dzieckach!

I takam rada, żem owego karabina Wojtusiowi dostarczyła, będzie nim Niemców prał, a ja pójdę po cukier. Toż będę miała co opowiadać, stojąc w ogonku!

Maria Bogusławska, *Jak Marysia Niemca rozbroiła* [w:] *Rocznice narodowe. Wskazówki i materiały potrzebne dla urządzających obchody narodowe*, oprac. M. Bogusławska, Warszawa 1926, s. 326-329.